

„ILEŻ TO W TYM ŻYCIU TRZEBA SIĘ NABIEDZIĆ!”  
(HORACY, *SATYRA* I 9)\*

Szedłem sobie raz Drogą Świętą, jak to ja, z głową w chmurach. O bożym świecie całkiem zapomniałem. Aż tu wyrasta przede mną jak spod ziemi człek znany mi tylko z widzenia. Wita się ze mną i mnie zaczepia:

– Jak się masz, serdeczko?

– Dziękuję, dobrze – odpowiadam. – Przynajmniej na razie.

I dorzucam:

– Tobie też życzę wszystkiego dobrego.

I masz, babo, placek. Przybłęda już za mną lezie.

– W czym mogę ci pomóc? – pytam grzecznie.

– Znasz mnie przecież! – on na to. – Jestem wszechstronnie wykształcony...

– Tym bardziej cię więc cenię – przerywam mu, usiłując odejść; do diaska, bezskutecznie.

A to więc przyspieszam kroku, a to co rusz przystaję. Byłe co szepcę niewolnikowi do ucha. Aż spościłem się jak szczur w tym całym galimatiasie.

– Ach, choleryku Bolanie! – wzdycham na stronie. – Gdybyś był na moim miejscu, rach-ciach przepędziłbyś natręta na cztery wiatry!

Ten tymczasem nawija. Pod niebiosą wynosi Rzym i okolice. A ponieważ nie odzywałem się do niego, rzecze:

– Oj, przejrzałem cię, mój ty niecnoto, zaraz właściwie na początku naszego spotkania... Chcesz się mnie pozbyć... Wybacz szczerze: nadaremnie, koteńku. Nie zrobię ci tej przyjemności i cię nie zostawię. Pójdę z tobą, dokądkolwiek zechcesz.

– Miło z twojej strony, ale doprawdy, nie trzeba, byś się fatygował. Chcę odwiedzić przyjaciela. Od dawna choruje. Nie znasz człowieka. Mieszka za Tybrem, przy ogrodach Cezara.

---

\* Ten swobodny przekład powstał na przełomie lutego i marca 2019 r. w związku z uczestnictwem w roku akademickim 2018/2019 w KUL w zajęciach „Analiza i interpretacja tekstów łacińskich”, prowadzonych przez dr Agatę Łukę. Za wszelkie uwagi krytyczne o opracowanym przeze mnie przekładzie, otrzymane tak w czasie ćwiczeń, jak i po, serdecznie dziękuję przede wszystkim dr Łuce, a także koleżance i kolegom ze szkolnej ławy, Marcie Nowak, Gabrielowi Korbusowi i Piotrowi Wilkowi.

– Nie uważasz mnie chyba za zgniłego lenia?! I tak się cudownie składa, że akurat nie mam nic do roboty. Chętnie więc dotrzymam ci towarzystwa.

Kładę uszy po sobie jak ten pogodzony z losem osioł, którego obłożyli zbyt wielkim ciężarem. A namolny typ znów swą śpiewkę zaczyna:

– Dobrze się znamy, brachu, no nie? I widzisz, wiem, że brakuje ci takiego najlepszego przyjaciela. Ci twoi Wiskus i Wariusz złamanego grosza nie są warci. Ale słuchaj, ja mogę być twoim najlepszym przyjacielem! Czy ktoś umie klecić wiersze szybciej i gładziej ode mnie? Czy ktokolwiek śmieiej niż ja wygina ciało? Przecież śpiewam tak, że zazdrości mi sam Hermogenes!

Tego było już za wiele. Nie zdzierżyłem:

– Panie, a w domu to wszyscy zdrowi?!

On na to rzewnie:

– Nie mam nikogo. Wszystkich już pochowałem.

– Szczęśliwcy! – krzyknąłem. – Więc ja tylko zostałem?!

I dodałem:

– Zlituj się nade mną, dobij mnie! Bo w tej godzinie smutny los na mnie nastaje. Los, który kiedyś, gdy byłem dzieckiem, wyprorokowała mi sabińska wieszczka. Potrząsnęła świętą urną i wydeklamowała:

Nie zginie ten tutaj otruty  
 ni mieczem przez wroga przekłuty,  
 na zapalenie nie umrze płuc  
 ni podagrę, co nogi chce tłuc,  
 ale go w grób gaduła wpędzi,  
 jeśli się w porę nie opędzi.  
 Gdy więc dorosnie i to pojmie,  
 niech z papłą nie chadza spokojnie!

Tak doszliśmy do świątyni Westy. Pół dnia aparat już mi zmarnował. Wtem okazało się, że mój kompan, ponieważ ktoś go pozwał, musi się stawić u pretora. W przeciwnym razie przegra sprawę. Powiada tedy:

– Skoro tyle nas łączy, chodź ze mną. To potrwa minutkę.

– Wybacz, ale nie mam na to siły i ochoty. I kompletnie nie znam się na prawie. A poza tym powiedziałem ci już, jakie mam plany.

– Nie ułatwiasz mi, stary – zachnął się.

I zaczął się zastanawiać:

– Jestem w kropce. Co tu robić? Opuścić sobie ciebie czy sprawę?

– Mnie! – odparowałem. – Tak będzie dla ciebie intratniej!

– Niedoczekanie twoje – sarknął, przyspieszając kroku.

Jako że kopać się z koniem nie mam w zwyczaju, idę sobie bez pośpiechu za nim.

– A jak się miewa Mecenasa, twój przyjaciel? – znowuż, niestrudzony, gai. – Łeb to ci on ma na karku. Co dała mu Fortuna, spożytkował doskonale. Ale ma tę jedną wadę, że lubi tylko wybranych. Klnę się na bogów: miałbyś we mnie wielkiego orędownika, gdybyś tak wprowadził mnie na jego salony. Nie mam wielkich wymagań; w szacownym gronie Mecenasa mogę grać choćby jaką poślednią rolę.

Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli nie wydepczę ci wtedy, że spośród przyjaciół Mecenasa będziesz pierwszy.

– Ale nasza przyjaźń nie wygląda tak, jak ty to sobie wyobrażasz. Ot, dajmy na to, nie przeszkadza mi wcale, mówię serio, że ktoś spomiędzy nas jest bogatszy albo mądrzejszy ode mnie. W kręgu Mecenasa każdy ma po prostu swoje miejsce.

– A, opowiadasz mi tu bajki, nie wierzę.

– Ależ tak jest!

– Hm... – zamyślił się. – Dlatego właśnie chciałem zbliżyć się do Mecenasa!

– Skoro jesteś taki utalentowany, sam się o to postaraj. Nie widzę problemu. Tym bardziej, że Mecenasa to gość, z którym można się dogadać. Grunt to przełamać pierwsze lody.

– W takim razie wszystkiego muszę dopilnować. Jego ludzi zjednam sobie prezentami. Jeśli wyrzuci mnie drzwiami, wejdem oknem. Nie przegapię żadnej okazji, żeby mu usłużyć. Ciągłe będę zabiegał mu drogę, wszędzie będę go odprowadzał. Ach, ileż to w tym życiu trzeba się nabiedzić!

Gdy głęda miał tak ozorem, dołączył do nas mój przyjaciel, Fuskus Arystiusz, który dobrze znał nieszczęsnego mojego mężczyduszę. Stanęliśmy.

– Skąd to i dokąd? – zagaduje Fuskus.

Szturчам go, szarpię go za rękę. Nie reaguje. Stoi jak słup, głup! Ale ja się nie poddaję. Kiwam głową, przewracam oczyma, żeby wybawił mnie z opresji. A on, wstrętny dowcipniś, tylko się śmieje i struga wariata. Zaraz, myślę, weźmie mnie cholera.

– Wspominałeś – zaczynam – że chcesz pomówić ze mną na osobności.

– Owszem – odpowiada – chcę, ale spokojnie możemy to odłożyć. Dziś przecież trzydziesty dzień miesiąca. Nie chcesz chyba znieważać obrzezańców...

– Gwiżdżę na Żydów i ich zabobony! – palnąłem.

– Wybacz, mój drogi, ale ja, człeczyna przeciętny, boję się zadzierać z niebami. Rozmówimy się innym razem.

I drań uciekł, zostawił mnie na lodzie. No co za dzień!

W tym momencie nadszedł z naprzeciwka adwersarz mojego kompana. Krzyczy na całe gardło:

– Czyś ty czasem aby drogi nie pomylił, ladaco?!

I do mnie się zwraca:

– Czy możesz być moim świadkiem?

No w to mi graj, kochany! I już wlecze gada do sądu.

Krzyk, huk, wrzawa, zbiegowisko. Tak to uratował mnie Apollo.

*Spolszczył* Łukasz Libowski  
lukasz.libowski@gmail.com

## ARGUMENTUM

*Horatianus Sermo I 9, qui incipitur verbis: „Ibam forte Via Sacra”, a Luca Libowski in linguam Polonicam libere versus.*



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła.  
Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>